

MARGINESY

Zbyszek

Zbyszek wtopił się w tło niewielkiej miejsciny, w której mieszkał od urodzenia. Trochę zapuszczony, czasem zbyt hałaśliwy, ale zupełnie niegroźny traktowany był raczej z pobłażaniem. Po śmierci rodziców Zbyszek odziedziczył niewielkie gospodarstwo, którym jednak kompletnie nie potrafił się zająć. Niby chciał o nie zadbać i je naprawiać, ale za każdym razem znajdował coś ciekawszego do zrobienia i tak gospodarstwo z roku na rok marniało, aż przysłała do Zbyszka ciotka z propozycją, o których zwykle się mówiło, że są nie do odrzucenia. Ciotka zaproponowała, że kupi od Zbyszka gospodarstwo za dwadzieścia tysięcy, wyremontuje je, a on sam będzie mógł pozostać w domu na zawsze. Zbysiu ani chwili się nie wahał – tak wielkich pieniędzy nigdy w życiu nie widział, a przed jego oczami pojawiła się wizja rozpustnego, dostatniego życia.

Pieniądze Zbysiu schował najlepiej, jak potrafił – wsadził je do starej poszewki, którą przymocował pod łóżkiem. Wieść o tym poszła jednak w świat i każdy, kto chciał, miał w Zbysiu odtąd wielkiego przyjaciela. Nie miał on żadnych problemów z pożyczaniem (oczywiście na krótki czas) małych i większych kwot tym, którzy go o to prosili. Pieniądze wydawał także na wódkę i papierosy dla wszystkich tych, którzy przez lata chętnie się z nim dzielili tym, co mieli.

Po trzech miesiącach z pieniędzy, które dostał Zbyszek, nie zostało prawie nic. On sam wrócił do picia najtańszych nalewek i jedzenia tego, co znalazł lub ktoś mu podarował. Nigdy nie miał serca upominać się o pożyczone wcześniej pieniądze, nikt także nie śpieszył się ze zwrotem długu. Za absolutnie ostatnie pieniądze, jakie miał, kupił paczkę kawy, czekoladę i los na loterię. Choć był dosyć naiwny, to nigdy tego nie robił – teraz kupił go raczej ze smutku i dla drwiny z własnej niefrasobliwości. Los zwinął w papierową kulkę i wcisnął do kieszeni. Tego wieczora zasypiał z dziwnym uczuciem w brzuchu – jakby przeczuwał, że coś się w jego życiu zmieni, nie wiedział jednak jak bardzo.

Następnego ranka obudziło go łomotanie do drzwi. Była to kuzynka z ekipą remontową. Dom, który w zasadzie należał do niej, postanowiła wyremontować i wynająć. Dla Zbyszka zostawiła niewielką komórkę – nieogrzewaną i brudną, o której on sam zupełnie zapomniał. Konflikty nie leżały jednak w jego naturze i w pełni zaakceptował taki zwrot wydarzeń. Gorzej zaczęło się dziać dopiero wtedy, gdy do domu wprowadzili się nowi mieszkańcy. Biedny, o wyglądzie przypominającym włóczykija Zbyszek wydawał się im doskonałym obiektem do żartów i drwin. Utrudniali mu nawet korzystanie ze starej, niewielkiej, drewnianej toalety znajdującej się na podwórku, nie mówiąc już o możliwości wchodzenia do głównej części domu, łazienki czy kuchni. Zbyszek siedział smutny, coraz więcej spał i błąkał się po miasteczku, przyjmując każdą pomoc. Zaczęła się jednak u niego pogłębiać depresja, a nawet pojawiły myśli samobójcze. Gdy pakował wszystkie swoje rzeczy i chciał ostatkiem sił wyprowadzić się gdzieś daleko albo po prostu iść przed siebie, znalazł kupiony jakiś czas temu los. Nie wierzył, że cokolwiek mógł wygrać – czuł raczej, że całe życie przegrywa. Ponownie zwinął los w kulkę, wcisnął do kieszeni swojego znoszonego palta i wyruszył przed siebie z niewielkim zawiniątkiem, które było całym jego majątkiem.

Przez następne dni Zbyszek tułał się po okolicznych wsiach, ale gdy noce zaczęły być mroźne, stwierdził, że o wiele łatwiej będzie mu znaleźć schronienie w dużym mieście. Spał w noclegowniach, jadł to, co znalazł albo zostało mu podarowane. Z nudów oglądał telewizję na dworcu albo w witrynie sklepu ze sprzętem elektronicznym i przeglądał stare gazety. W jednej z nich znalazł artykuł o szczęśliwcu, który jako jedyny w rozdaniu trafił szóstkę w lotka, ale nie zgłosił się po nagrodę. Po przeczytaniu gazety użył jej do uszczelnienia swoich dziurawych butów i pomyślał, że on za takie pieniądze to kupiłby sobie nowe i się najadł. Wtedy też przypomniał sobie o schowanym losie, który przez cały czas nosił przy sobie, a o którym całkowicie zapomniał. Wyjął wymięty i mokry zwitek papieru i odkrył, że to właśnie on jest właścicielem zwycięskiego losu. Przysiadł ze zdumieniem i zupełnie nie wiedział, co robić. Wygrana wielokrotnie przewyższała sumę, którą dostał za dom, a która – jak dobrze pamiętał – nie doprowadziła do wielu dobrych rzeczy. Postanowił, że tym razem postąpi inaczej.

Przez następne dni Zbyszek intensywnie myślał nad swoim planem. Umył się, ubrał w nowe ubranie, które dostał w przytułku, a całe dnie spędzał w miejskiej bibliotece, studiując książki o zarządzaniu i ekonomii. Czasem niewiele z nich rozumiał, ale i tak go to nie zrażało. W czwartek stwierdził, że jest gotowy, wziął dużą reklamówkę i udał się po odbiór nagrody. Niosąc w trzęsących się rękach worek pełen banknotów, znów miał mętlik w głowie. Udał się jednak prosto do banku, gdzie początkowo potraktowano go z pobłażaniem, a nawet chciano wyrzucić. Gdy jednak Zbysiu pokazał powód, dla którego się zjawił, pani kasjerka usiadła i pobladła. Potem Zbyszek udał się po nowe buty – jego pierwsze buty, których nikt wcześniej nie nosił. Długo się zastanawiał nad tym, jakie powinny być, aż w końcu postanowił, że muszą być porządne, skórzane i brązowe. Reszta spraw poszła dosyć szybko – mimo że Zbyszek nie miał dotąd zielonego pojęcia o handlu, znalazł mały sklepik, w którym zamierzał handlować wyrobami tytoniowymi, które były właściwie jego jedynym hobby. Postanowił także, że nigdy nie odmówi pomocy nikomu, kto go o nią poprosi. Z czasem jego sklepik stał się nie tylko miejscem, w którym można było kupić niedostępne gdzie indziej rodzaje tytoniu i fajki, ale także punktem spotkań potrzebujących.

Inny plan miał także wobec gospodarstwa swoich rodziców – skontaktował się z kuzynką i zaproponował jej czterokrotnie wyższą sumę, niż ona sama mu zaoferowała za dom. Kobieta pozbyła się gospodarstwa, a Zbyszek stał się właścicielem domu, w którym nadal jeszcze mieszkali jego dawni prześladowcy. Szybko rozwiązał z nimi umowę, a z domu postanowił zrobić miejsce, w którym bez lęków mogliby schronić się wszyscy ci, którzy tego potrzebują.

NA PROSTEJ I ZAKRĘTACH

Był sobie deszcz

Czy zwykły deszcz, normalne zjawisko w naszej strefie klimatycznej, może stać się sprawą polityczną, tematem narodowym? Okazuje się, że może – i to w naszej ukochanej ojczyźnie. Wiadomo, o co chodzi, nie będę więc opisywał feralnego dnia 16 października 2012 r., w którym miał się odbyć mecz eliminacyjny do mistrzostw świata 2014 pomiędzy Polską a Anglią na warszawskim stadionie, który pompatycznie nazywa się Stadionem Narodowym. Deszcz i nieodpowiednia murawa przeszkodziły w rozegraniu meczu. Odbył się następnego dnia.

W konsekwencji tego wydarzenia rozpętała się dyskusyjna burza, która praktycznie trwa do dziś. W telewizyjnych programach był to wiodący temat. W tej sprawie zaczęli zabierać głos przedstawiciele wszystkich partii zasiadających w naszym parlamencie zarówno z prawa, jak i z lewa. Jedni wypowiadali się w miarę spokojnie, wskazując na ewentualne niedociągnięcia. Drudzy paplali od rzeczy, nie znając procedur związanych z organizacją tego typu spotkań.

Szybko uznano, że wydarzenie to skompromitowało Polskę w oczach świata, nie tylko sportowego. Uznano w dodatku, że jest to sprawa polityczna. Zaczęło się więc poszukiwanie winnego (winnych), które można określić mianem polowania na czarownicę. Szybko też wiele osób doszło do wniosku, że za całe to kompromitujące wydarzenie winę ponosi minister sportu i turystyki Joanna Mucha. Niektóre oszołomy z PiS-owskiej stajni zaczęły się domagać ukarania pani minister, a dokładniej odwołania jej z ministerialnej posady.

Do akcji włączył się premier Donald Tusk. Zapowiedział prześwietlenie całego wydarzenia, zarządził kontrolę w Ministerstwie Sportu i Turystyki oraz Narodowym Centrum Sportu. Równocześnie minister Joanna Mucha pod naciskiem nieprzychylnych jej osób oddała się do dyspozycji premiera. W końcu doczekaliśmy się także wypowiedzi premiera w sprawie całego zamieszania związanego z odwołanym meczem.

Premier Donald Tusk poinformował, że nie przyjmuje rezygnacji minister Joanny Muchy. Następnie powiedział, że z raportu po kontroli w Ministerstwie Sportu i Turystyki i Narodowym Centrum Sportu zleconej w związku z meczem Polska – Anglia wynika, że nadzór resortu nad Narodowym Centrum Sportu nie jest wystarczający i jest rozproszony. W raporcie stwierdzono, że niewystarczający nadzór ministerstwa nad NCS nie miał bezpośredniego wpływu na sytuację związaną z meczem Polska – Anglia. Równocześnie premier stwierdził, że oczekuje od minister Joanny Muchy podjęcia starań naprawczych do końca roku, a także zbudowania nadzoru w ministerstwie oraz wyciągnięcia odpowiednich konsekwencji.

Z tego oświadczenia niewiele wynika. Można powiedzieć, że z dużej chmury... mały deszcz. Nie wskazano winnych tego kompromitującego zdarzenia. Z pewnością winy nie można zwałać na minister Joannę Muchę. Odwołanie jej z ministerialnej funkcji za to, że nie zasunięto dachu na stadionie, a także za to, że murawa była do kitu, bo bez drenażu, byłoby totalnym absurdem. W końcu minister sportu nie musi się znać na rodzajach murawy, na futbolowych boiskach, a ponadto nie można od niej wymagać, by sama chwyciła za korbę i zasuwała dach. Za to odpowiedzialni są organizatorzy widowiska.

Z wypowiedzi premiera wynika, że w zasadzie nic się nie stało, że nie ma konkretnej osoby czy instytucji odpowiedzialnej za „deszczową aferę”. Donald Tusk mówił, że PZPN był informowany przez NCS o prognozowanych dużych opadach. Niby nikt nie zawinił, ale brakowało tego dnia gospodarza. Zabrakło wyobraźni wszystkim, którzy byli odpowiedzialni za organizację tego meczu. Takie stanowisko i takie tłumaczenie sankcjonuje tylko nieudolność i brak odpowiedzialności ludzi organizujących mecz oraz zarządzających stadionem. Moim zdaniem są winni. A na winę składają się niezaradność i niefrasobliwość.

W całej tej burzy dyskusyjnej zapomniano nieco o procedurze związanej z organizacją i rozgrywaniem tego typu meczów. Otóż mecze eliminacyjne do mistrzostw świata organizuje i nadzoruje Międzynarodowa Federacja Piłki Nożnej (FIFA), a PZPN jest jej „ramieniem” na terenie Polski. Stąd prosty wniosek – organizatorem był PZPN i to w jego szeregach należy w pierwszej kolejności upatrywać winnych, przede wszystkim w osobie Grzegorza Lato, który był jeszcze wówczas urzędującym prezesem. A prezes powinien dyrygować przygotowaniem do meczu i sumiennie je nadzorować. Tego jednak w należyty sposób nie uczynił.

W PZPN zlekceważono prognozę pogody. Prezes Grzegorz Lato uznał widocznie, że po jego ustąpieniu może być nawet... potop. Przedstawiciele związku niezbyt dokładnie sprawdzili murawę boiska, która – jak się okazało – nie miała właściwego drenażu. Faktem jest, że oba zespoły po treningu, który odbył się dzień wcześniej, chciały grać przy otwartym dachu. Była ładna pogoda i nie mogli wiedzieć, że zanoszą się na duże opady deszczu. W końcu zaczęło padać. W tym momencie nikomu nie przyszło nawet do głowy, że trzeba zasunąć dach. Zastanawia fakt, dlaczego delegat FIFA (bardzo ważna osoba w trakcie takich meczów) nie zareagował na deszcz, który mógł przeszkodzić w rozegraniu meczu. Widocznie wszyscy liczyli na to, że trochę popada i ustanie. Stało się jednak inaczej. Z kolei przedstawiciele Narodowego Centrum Sportu spokojnie oczekiwali, co wymyśli organizator, czyli PZPN. Następnie zaczęli tłumaczyć, że nie można zasunąć dachu, kiedy pada deszcz.

W tym miejscu doszliśmy do Narodowego Centrum Sportu, instytucji powołanej przed EURO 2012 i mającej nadzorować budowę stadionu. W wyniku tego nadzoru jego budowa opóźniła się o wiele tygodni oraz prawie dwukrotnie wzrosły koszty tejże budowy (mówi się nawet, że przekroczyły 2 miliardy złotych). W instytucji tej zatrudniono sporo osób, głównie znajomych byłego ministra sportu Mirosława Drzewieckiego, które pilnowały swoich ciepłych i dobrze opłacanych posad, a znacznie mniej zajmowały się budową i wyposażeniem stadionu. Nie jestem na przykład w stanie zrozumieć, dlaczego nie można zasuwać/rozsuwać dachu, kiedy pada deszcz – czyżby były to jakieś wady konstrukcyjno-eksploatacyjne?

Był sobie deszcz, który zamieształ w życiu społecznym. Większość obywateli, także ja, uważa, że była to kompromitująca wpadka wielu osób działających na sportowej niwie, a także wielu funkcjonariuszy państwowych, którzy utrzymywani są z budżetu państwa (tzn. z naszych podatków). Nie grzeszą oni odpowiedzialnością, a do ich kompetencji też nie można mieć zaufania. Był sobie deszcz i wszystko popłynęło. Nie ma jednak winnych tej kompromitacji.

Kiedy Czytelnicy otrzymają ten numer do ręki, będzie już wiadomo, kto został nowym prezesem PZPN. Nie należy się jednak ekscytować, że od tego momentu w PZPN zaczną się dziać pozytywne rzeczy. Nie wierzę, że można oczyścić to bagienko, stosując półśrodki.

HENRYK MARZEC